



Przemyśl, zniszczona synagoga Tempel przy ul. Jagiellońskiej,
1941-1945 / NAC

TO, CO BYŁO

ROMA SENDYKA

„Przez ruiny i zgliszcza” Mordechaja Canina to zapis rzeczywistości, która tylko na pierwszy rzut oka już nas nie dotyczy. Dopóki wyznanie: „Weźcie, Żydzi, swoje rzeczy”, nie będzie w Polsce możliwe, dopóty wojna wciąż będzie modelować nasze interakcje

Droga na Białystok (trupy i widma)

„Droga do Białegostoku nie jest rzeczą łatwą. To raczej wyprawa, ekspedycja, do której należy się przygotować, jakby jechało się na biegun północny” – pisze reportażysta amerykańskiego pisma, próbując w drugiej połowie lat 40. dotrzeć do jednego z prężnych przed wojną ośrodków żydowskich. Na przełomie 1946 i 1947 roku konsekwentnie realizuje plan odwiedzenia możliwie wielu miejscowości, w których „kwitło żydowskie życie”. Tytuł „Przez ruiny i zgliszcza. Podróż po stu zgładzonych gminach żydowskich w Polsce” ściśle i trafnie streszcza zarówno trasę, jak i wnioski z podróży. Zbiór tekstów z Polski wyszedł w formie książki w 1952 roku w Tel Awiwie, a po siedmiu dekadach dociera do Polski w przekładzie Moniki Adamczyk-Garbowskiej.

Gdy Mordechaj Canin publikuje kolejne reportaże w wysokonakładowym nowojorskim dzienniku „Forwerts”, pisze w jidysz, swoim rodzimym języku. Pochodzi bowiem z tego kraju, który opisuje. Udaje się do niego, przybierając fałszywą tożsamość „angielskiego dżentelmena”, która – jak się słusznie spodziewa – pozwoli mu dowiedzieć się więcej i dojechać dalej. Jego marszruta układa się w trzy koncentryczne pętle łączące miejscowości centralnej Polski, od Łodzi i Warszawy po Kraków i Tarnów; druga wyprawa była skierowana na północny wschód – tu najdalej dotarł do Białegostoku. Na południowym wschodzie dojechał do Hrubieszowa, z wyjazdu do Bełżca zrezygnował z powodu informacji o grożących tam niebezpieczeństwach.

Mordechaj Cukierman z Sokołowa Podlaskiego, urodzony w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku, pochodził z licznej rodziny urzędniczej. Jej losy oddają złożoność żydowskich życiorysów: rozbita i podzielona, jeszcze przed wojną rozpieczętowała się między Australią i Palestyną. Ci, którzy zostali w Polsce, w czasie wojny ukrywali się na aryjskich papierach, jedna z siostr popelniała samobójstwo. Przyszły pisarz po udziale w kampanii wrześniowej dzięki wizie wileńskiego konsulatu Japonii przez Władywostok, Japonię, Szanghaj, Indie dotarł do Palestyny. Wracał do Polski z nową tożsamością, jako Mordechaj Canin, by zobaczyć, co pozostało z jego ojczyzny.

Mordechaj Cukierman z Sokołowa Podlaskiego, urodzony w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku, wracał do Polski jako Mordechaj Canin, by zobaczyć, co pozostało z jego ojczyzny

Spóźnia się na pociągi, by uzasadnić swój pobyt w miejscowości, wynajmuje powozy, by dostać się do miejsc, do których nie dociera publiczny transport, nocuje w karczmach, należących niegdyś do jego pobratymców, rozpytuje mimochodem o synagogi, kirkuty i Żydów. Notuje dialogi, spisuje obserwacje. To, co widzi, powoduje, że pisze, pisze intensywnie, „jak w gorączce”.



Mordechaj Canin, „Przez ruiny i zgliszcza. Podróż po stu zgładzonych gminach żydowskich w Polsce”. Przeł. Monika Adamczyk-Garbowska, Wydawnictwo Nisza (we współpracy z Żydowskim Instytutem Historycznym im. Emanuela Ringelbluma), w księgarniach od grudnia 2018

Materiałowi, który przedstawi, nie można będzie uwierzyć. Nie tylko dlatego, że obrazy, jakie wylaniają się z tych zapisków, dla wielu będą niewyobrażalne. Relacja jest efektem nieomal chorobliwego pobudzenia, a może nawet – spokrewnionego z potraumatycznymi syndromami – natręctwa, które każe znowu i znowu jechać do kolejnych miejsc, by zobaczyć w nich to samo – *ruiny i zgliszcza*. Liczby są wyolbrzymione (korygują je w polskojęzycznym tomie przypisy). Wiadomości – czy w ogóle wiarygodne, skoro, jak sam reportażysta przyznaje, po aresztowaniu go na polsko-czechosłowackiej granicy skonfiskowano mu większość notatek? Ale przede wszystkim – czy można ufać świadectwu, gdy jego autor jest skonstruowaną na potrzeby projektu fikcją? Canin, ruszając na wyprawę terenową, nie występuje bowiem jako Żyd. To *Mr Canin*, Anglik. *What is this?* – pyta, a wtedy, bez podejrzliwości, prowadzą go ku zabytkom i trafiają na ruiny synagogi. Reportażysta pisze, że nie został rozpoznany, że opanował do perfekcji sztukę kamuflażu, że udawało mu się nie dać nic „po sobie poznać”, „powstrzymywać się, skulić się w sobie”. „Moja twarz nie jest najgorsza, nauczyłem się patrzeć tak, by moje oczy nie wyglądały na żydowskie” – przekonuje.

Spojrzyć w twarz Żyda

Kwestia nierozpoznania jest szczególnie ciekawa – odkrywa, jak mi się wydaje, centralny problem, wokół którego narasta energia tego reportażu. Nie tylko bowiem Michał Głowiński w „Oczach donosiciela” potwierdzał szczególną sprawność rozpoznawania Żyda, jaką zdobyło polskie społeczeństwo podczas wojny. „Wiesz, że każde wyjście na ulicę, nawet z dobrym wyglądem i dobrymi aryjskimi papierami, może być ostatnim, bo niemal na każdym rogu czatuje szmalcownik z oczami jak noże. Pozna Żyda w tłumie i wyda go Niemcom” – pisała Irit Amiel. Canin jednak – niczym osłonięty przez Atenę Odyseusz – powraca do swej ojczyzny i staje się z łatwością tym, za kogo chce uchodzić, co nie udawało się wielu jego pobratymcom jeszcze dwa–trzy lata wcześniej. Czy jego blizna jest nierozpoznawalna? Musi być widoczna, skoro bez trudu dostrzegają w nim Żyda inni Żydzi: dorożkarz w Łodzi, aptekarka w Kazimierzu Dolnym.

„Moja twarz nie jest najgorsza, nauczyłem się patrzeć tak, by moje oczy nie wyglądały na żydowskie” – przekonuje Canin

Nierozpoznanie przez Polaków, nagła ślepotą wyszkolonych oczu szmalcowników, których Canin musiał przecież spotykać w Białymstoku, Mławie i Warszawie, wynika z procesu, który zresztą reportażysta sam trafnie diagnozuje. Polacy, by dostrzec w nim Żyda, musieliby „podnieść wzrok”, „spojrzeć mu w twarz”. Tymczasem po wojnie „między Żydami i Polakami stoi gruby mur. Kiedy Polak rozmawia w miasteczku z Żydem, nie patrzy mu w oczy, milczy. Dlaczego nie może mu powiedzieć, że ukrywał jego ojca czy brata, że zaopiekował się jego domem, że uratował jego święte przedmioty, że pomógł żydowskiemu partyzantowi, dając łyk wody? Nic takiego nie mówi. Milczy. Bo żeby rozmawiać swobodnie z uratowanym Żydem i spojrzeć mu w oczy, setki tysięcy Polaków musiałyby wynieść ze swoich domów żydowskie rzeczy”.



Burzenie dzielnicy żydowskiej w Lublinie przez hitlerowców w latach 1942–1943, fot. Czesław Gawdzik

Zaniechanie pomocy i naruszenie praw Żydów w czasie wojny, w czym Polacy wzięli udział, dziś ma ten skutek – diagnozuje Canin – że niszczenie tego, co żydowskie, nie ustaje: musi być

doprowadzone do końca, musi być wciąż na nowo podejmowane, tak by ostatni Żyd został wygnany z kraju. Wszystko po to, by uniknąć spotkania „twarzą w twarz”. Brzemienne go w skutki, bo, po pierwsze, nieuchronnie przywracającego Żydowi jego człowieczeństwo. A po drugie, doprowadzającego do konfrontacji. Jej wynikiem jest – obserwuje i wnioskuje Canin – piekący wstyd. Ten chwycie tożsamością (to klasyczne założenie Ruth Benedict). Nic przyjemnego. Dlatego znaczący, nawet symboliczny gest podniesienia wzroku i stanięcia wobec siebie, który w humanistycznej filozofii Emmanuela Levinasa jest równoznaczny z wzajemnym uznaniem jako autonomicznego podmiotu, był w kraju po wojnie niemożliwy. Dlatego obie strony grają w komedię pomyłek – Canin nie daje się poznać, Cukierman nie zostaje rozpoznany.

Rozsiane groby

Reportażysta jedzie więc bezpiecznie w Polskę, tworząc swoisty, osobny przewodnik po zgłiszczach. Można argumentować, że niepotrzebny: że miasta odbudowano, że groby uporządkowano. Tak jednak nie jest: miejsca, w których złożono zabitych, w wielu miejscowościach wciąż są niczym więcej niż wznoszącym się lekko kopcem pośrodku łąki.

Miejsca, w których złożono zabitych, w wielu miejscowościach wciąż są niczym więcej niż wznoszącym się lekko kopcem pośrodku łąki

Wiem, bo od kilku lat poruszam się po szlakach, którymi jeździł Canin, badając procesy, które takie grzebaliska wywołują w swoim otoczeniu. Jeżdżę trasami, które od wojny przemierzają poszukiwacze zmarłych – Henryk Grynberg nazwał ich „Ekipą Antygona”. Niegdyś prowadzili ekshumacje, dziś starają się o upamiętnienia miejsc, gdzie wciąż leżą ofiary. W Małkowie na przykład, w którym Canin widział „tylko nikły ślad masowego grobu” z 1939 roku, staraniem Komisji Rabinicznej ds. Cmentarzy i fundacji Pamięć, Która Trwa stanął w 2013 roku skromny pomnik.

Perspektywa, że tutaj, w Polsce, „wszystko jest żydowskim cmentarzem”, w interpretacji Canina udosławia się. Reportażysta wciąż zwraca uwagę na dobrze jeszcze widoczne dzikie, nieupamiętnione żadnym symbolem, czasem rozkopane „groby rozsiane po polach”. Przytacza również wyznania tych, którzy ludzkimi prochami nawozili rolę lub karmili zwierzęta. Z całą siłą objawia się czytającemu straszna, materialna konkretność frazy („wszystko jest cmentarzem”), którą zwykliśmy czytać w trybie metafory. Canin zmusza czytelnika, by zrozumiał, że po Żydach w Polsce zostały przede wszystkim trupy, nie widma. Lektura „Ruin...” uświadamia, że póki materialna obecność zabitych w Zagładzie nie zostanie ujęta w ramy pogrzebowego rytuału, opowiadanie o zamordowanym żydowskim życiu za pomocą figur zjaw i duchów jest przedwczesnym i ucieczkowym gestem, romantyzacją potwornej fizycznej rzeczywistości, która jest nadal naszym udziałem.



Radecznica, fot. R. Sendyka, zdjęcie wykonane przez zespół Ośrodka Badań nad Kulturami Pamięci WP UJ podczas badania nieupamiętnionych miejsc ludobójstwa (projekt NPRH)

Duchów u Canina niemal nie znajdziecie: tylko raz przytacza opowieść o mieszkance Wolbromia, która wydała dwie dziewczynki żandarmom. Zabite, zagrzebano koło jej stodoły. Teraz „niech pan sobie wyobrazi, że te dwie martwe żydowskie dziewczynki ją straszą. Straszą za dnia i w nocy. (...) I ta chłopka odchodzi od zmysłów, słyszy krzyki”. Ksiądz nie dał rozgrzeszenia. „Masz dwa ludzkie istnienia na sumieniu. Musisz cierpieć”.

Każdy bierze, co mu potrzebne

Wydarzenia opisywane przez Canina dzieją się w krainie sztetli, której ontologia dzięki pisarzom, malarzom, nawet filmowcom nabrała baśniowego charakteru na długo przed wojną. Tę barwną mozaikę miejsc rozsianych poza czasem, zanurzonych w świętych dziejach, pełnych bogobojnych pracowitych ludzi, otaczały w umiędzynarodowionym imaginariu tajemnicze puszcze, okrążały zbójckie bandy napadające na kupców, którzy odważali się ruszać w stronę Warszawy czy Lublina (ten topos jest tak trwały, że słyszymy o nim nadal: oglądajcie choćby „Sztetl” Mariana Marzyńskiego z 1998 roku lub „Po-lin” Jolanty Dylewskiej z 2008).

Wydarzenia opisywane przez Canina dzieją się w krainie sztetli, która nabrała baśniowego charakteru na długo przed wojną

Gdy w tę oddzieloną od zracjonalizowanej nowoczesności rzeczywistość wkracza wojna, czas historyczny brutalnie miażdży trwanie, jednocześnie przemoc znajduje korzystne warunki dla swego wzrostu. Wiadomości o masowych rozstrzeliwaniach, o masakrach nad gliniankami, w jarach i wąwozach, prowadzonych przez Einsatzgruppen, formację „zwykłych Niemców” postępującą w 1941 i 1942 roku za armią pracą na Moskwę, są tak niewiarygodne, że – paradoksalnie – pasują do ramy uprzedniej narracji o nierealnej krainie. Odmienność porządków rzeczywistości: tej, dajmy na to, w Londynie i tej nad Bugiem – pozwala pozostawić tę drugą poza

obszarem interwencji. Bo kto by się ważył wtrącać w logikę baśni, w której świecie bierze górę niepojęte zło? Kto ruszy ratować ludzi w okryciach przypominających pradawne czasy? Ludzi, którzy – pamiętamy – tak niedawno jeszcze unosili się nad Witebskiem, siadywali na kalenicach ze skrzypcami i zmieniali się w karakony?

Canin również nie całkiem jest wolny od wpływu tej tradycji. Postaci w jego reportażach to raczej typy, a podział na dobro i zło nie ulega wątpliwości (po jednej stronie są „niemieccy zwyrodnialcy”, „niemieccy grabieżcy i ich ukraińscy, białoruscy, litewscy i polscy pomocnicy”, po drugiej „męczennicy”). Miejscem akcji są miasta, w których mieszkali niegdyś wyłącznie „serdeczni, ciepłi ludzie”, zaangażowana młodzież dyskutowała pisma Kanta i Marksa, garnąc się do nauki, mimo niedostatku kipiał „wulkan rozpędanego życia”.

Miejscowość X (tu wstaw, czytelniku/czytelniczko, toponim ze wschodniej lub centralnej Polski) była „położonym na uboczu miasteczkiem, gdzie życie płynęło [...] w równym rytmie. Bez wzlotów i upadków; [Żydzi] ciężko pracowali na chleb, żenili się, płodzili dzieci i tworzyli pokolenie za pokoleniem. Mieli swoją bożnicę, swoją bibliotekę i młodzież”. Ich domy były „przytulne i gościnne”. Praca, pobożność, aspiracje kulturalne i żadnych – może poza ubóstwem – kłopotów (chyba że z mieszkającym wokół chłopstwem, które nie potrafiło się podpisać ani używać łyżek).

Każdy kolejny rozdział zaczyna się od podobnej rezurekcji, przeprowadzanej w wyobraźni i pamięci reportażysty. Pisarz ma jednak świadomość dokonywanego przez siebie retuszu, gdy pisze: „Przesuwa się w naszej wyobraźni [...] cudowny barwny film z należącego do przeszłości bogatego żydowskiego życia”. Próba spisania historii tych terenów natychmiast upodabnia się więc do apokryfu, czemu sprzyja fakt, że Canin nie dysponuje jeszcze językiem do nazwania ludobójstwa. Opisuje je – jak wielu w tych czasach – terminami biblijnymi. Oto „rozstąpiła się ziemia”, nadszedł „potop”, „burza”, „plaga”, otwarła się „czarna otchłań” i rozpoczęła się rzeź.

Stada wilków

Żli są najeźdźcy, źli są ich najemnicy, zarażają się złem nieżydowscy sąsiedzi. Mimo że Canin wiele razy podkreśli, że ostatecznego spustoszenia żydowskich miast i szabru terenów obozowych dokonywały całe społeczności, znacząco często nazywać je będzie w języku sprzed ery naukowych badań socjologicznych: „hordy”, „stado głodnych wilków”, „zgraja”, „hałastra”, „szumowiny”, „bandy”, „chuligani”, „łobuzy”. Najbliżej studium społecznego jest wtedy, gdy mówi o grabieżcach: „prosty element miejski” lub „ciemni prymitywni chłopci”. Lub najogólniej: „fanatyczni Polacy”. To ich dziełem, po niemieckim morderstwie, jest całkowite zniszczenie kultury żydowskiej w regionie: „zrywano nawet dachy”, „rozbierano ściany żydowskich domów”, nie ocalały bożnice ani cmentarze.



okolice Miechowa, fot. K Jarzyńska, zdjęcie wykonane przez zespół Ośrodka Badań nad Kulturami Pamięci WP UJ podczas badania nieupamiętnionych miejsc ludobójstwa (projekt NPRH)

Jeśli dla żydowskiego czytelnika w Palestynie lub w Nowym Jorku wyprowadzana z obserwowanych śladów rekonstrukcja procesu zniszczenia życia, społeczności i jej kultury musiała być nie do zniesienia pod koniec lat 40. i na początku 50., gdy ukazywały się te zapiski, to dzisiejszy czytelnik, w tym kraju, będzie wstrząśnięty przede wszystkim obrazami, które nie zostały przez niego jeszcze (mimo wysiłków wielu współczesnych badaczy, włączanych często do wrogiej frakcji kalumniatorów) przyswojone. Nie znamy siebie ze scen szалу niszczenia, rokoszy, rabunku: „W czasie, gdy Żydów wyprowadzano z miasta, miejscowa ludność rzuciła się do rabunku. Niemcy chcieli ten dobytek zatrzymać dla siebie, strzelali więc, walili karabinami po głowach, ale żądza rabunku była silniejsza. Jak dzika zgraja rzucili się chłopci, część domów została rozebrana do fundamentów. Na synagogę też się rzucono z siekierami, łopatami i młotami”. Canin zbiera opowieści od bezpośrednich świadków, mieszkających w odwiedzianych miejscowościach, czasem przytacza nawet dialogi. „Przyszli. Przychodzili po nocach i kradli worki z popiołem. Całe fury popiołu wywozili. Szukali kawałków złota albo spalonych brylantów, potem tym popiołem nawozili pola”.

Te obrazy nie zostały jeszcze przyswojone. Nie znamy siebie ze scen szалу niszczenia, rokoszy, rabunku

Na poły baśniowe, wyidealizowane podobrazie reportażu Canina ostatecznie służy wydobywaniu znaczeń z pierwszego planu: brutalnego i dosadnego, realistycznego, precyzyjnego – prezentowanego jak w zeznaniu. Trudno jednak przyjąć naturalistyczne uzasadnienia, które najczęściej wybiera reportażysta, gdy pisze o „zdziczałych ludziach, którzy widzieli, że można bezkarnie, nie tylko bezkarnie, wręcz z korzyścią dla siebie” wydawać i zabijać ludzi. Trudno też, w świetle dzisiejszych ustaleń, przypisać kradzież tylko (miejskiemu czy wiejskiemu) marginesowi.

Pisarz wprawdzie ma świadomość, że na relacjonowane postawy wpłynęły warunki społeczno-polityczne, w których sprawcy funkcjonowali. Ogranicza jednak stawianie hipotez do etycznej degrengolady czasu wojny i wpływu niemieckiej propagandy. Warto natomiast pytać o szerszy układ odniesienia, w który wpisywały się akcje szabrowników, bo może się okazać, że nadal jest obowiązujący.

Puścizny, nie pustki

Istotne – i może najtrudniejsze do przyswojenia w lekturze prowadzonej dziś, w Polsce – jest w relacji Canina odsłonięcie systemowego charakteru niszczenia, okradania, rozszarpywania żydowskiej własności w wojennej i powojennej Polsce. To, co opisuje reportażysta, to nie akcje pojedynczych zdegenerowanych jednostek czy grup marginesu, ale zorganizowane, wspólnotowe działania, zaplanowane, przygotowane i wsparte dostępną techniką. Nie do utrzymania jest strategia wyjaśniająca, którą Paweł Dobrosielski nie bez ironii nazwał niedawno „niektórzością”, bowiem w 1946 roku jest jasne, że „wszyscy w mieście «odziedziczyli» po Żydach”.

Gwałtowne przejęcie osieroconej własności w skali Europy nie jest aktem ograniczonym tylko do Polski. Tzvetan Todorov w „Face à l’extrême”, polemizując z Claudem Lanzmannem, przypomina o brutalnych akcjach chłopskich wobec Żydów w Loiret. Polski przykład działa jednak na inną skalę: ma rozległość, częstotliwość zasady, a nie wyjątku. Ponadto różni go od rabunków w Europie Zachodniej fakt, że nigdy nie został jednoznacznie i skutecznie osądzony.

Współczesny czytelnik może bowiem ze zdumieniem odkryć, że polski rząd na uchodźstwie, inaczej niż inne alianckie gabinety, nie przyjął odpowiedzialności za roszczenia w sytuacji strat wojennych (szczegółową historię tych regulacji, a raczej ich braku, opisały niedawno Nawojka Cieślińska-Lobkowicz oraz prawniczka Monika Krawczyk). Nie zrobił też tego rząd komunistyczny – przeciwnie, był zainteresowany rezygnacją ewentualnych właścicieli czy spadkobierców z dochodzenia swych praw do zagrabionego majątku, mógł go wtedy sprawniej znacjonalizować i używać do konstruowania nowego porządku polityczno-ekonomicznego. Gdy więc na przykład emigracyjny rząd holenderski deklarował (już w 1944 roku), że doprowadzi do restytucji własności – lub ją zrekompensuje – powracających z obozów Żydów, polskie władze po obu stronach zaciąganej właśnie kurtyny solidarnie milczały, umożliwiając, a więc i biorąc odpowiedzialność za wydarzenia, których skutki ogląda zdruzgotany Canin („ile razy może zastygać krew w żyłach”).

Sprawy zerwanych dachów i żyrandoli, zwojów Tory użytych na wyściółkę do butów (to wstrząsający przykład przytoczony w książce), rozbitych budynków i wywiezionych z cmentarza macew, przejętych placów i przedsiębiorstw – nie rozwiązały też kolejne rządy w Polsce (komunistyczne, liberalne, konserwatywne), aż po dziś dzień. W ten sposób naszemu krajowi przypada niechlubna wyjątkowość na skalę całej Unii Europejskiej. Tak, z restytucją poradziły sobie obciążone podobnie trudnymi wojennymi zaszłościami kraje, jak Węgry i Litwa. Polska jest dziś *jedynym* państwem, które wciąż nie uregulowało kwestii wojennych odszkodowań. Bo nie można uznać za takowe wprowadzenie dwóch ustaw o nacjonalizacji „majątków opuszczonych” z 1945 roku i ustawy z 1956, która sankcjonowała „zasiedzenie”. I o ile od lat 90. ubiegłego wieku rządy dwudziestu trzech państw (m.in. Francji czy Szwajcarii) powołują specjalne komisje historyczne, tropiąc los przejętych ruchomości, w Polsce te „ogłocone ruiny, bez podłóg, a nawet bez okien”, te „prześcieradła rozległe, drogocenna pościel i suknie, jasne suknie”, o których z goryczą pisała niegdyś poetka, pozostają niespisane, nieodnalezione i nierozliczone. Wciąż w obiegu. Brak reakcji na tę sytuację należy postrzegać w planie nie tylko etycznym, ale – może przede wszystkim – politycznym.

Sprawy zerwanych dachów i żyrandoli, zwojów Tory użytych na wyściółkę do butów, przejętych placów i przedsiębiorstw – nie rozwiązały kolejne rządy w Polsce

Dlatego myli się Canin, pisząc o polskich pustkach: „Teraz jest tu pusto, straszliwie pusto” (o Janowcu); „nie mam już siły patrzeć na tę wstrząsającą, tę bezbrzeżną pustkę po dawnym żydowskim świecie” (w Lubartowie). To nie *pustki* wyznaczają krajobraz relacji społecznych tego kraju, ale *puścizny*. Puścizna to określenie osieroconego mienia, przechodzącego w prawie feudalnym na własność wasala. Używaliśmy tego terminu jeszcze w XIX wieku, tłumacząc, czym było „prawo kaduka”. Praktykę tę opisuje jeden z miejscowych informatorów Canina: „Tak, trochę oni, a trochę się rozebrało, zwyczajnie: nie ma gospodarza, życie mu odebrali, to się zabiera, zwyczajnie”.

Żydowskie puścizny, przejęte „prawem kaduka” w Polsce, nie tylko potwierdzają folwarczny charakter głębokiego ustroju społecznego (o czym pisali m.in. Jan Sowa i Andrzej Leder), ale – stawiam hipotezę – stanowią żywną glebę dzisiejszego lokalnego antysemityzmu, którego fantazmatycznym bodźcem wywoławczym jest figura powracającego Żyda, który miałby „odbierać”.

Ta niewyjaśniona ambiwalencja osieroconego dziedzictwa, której nie daje się łatwo neutralizować, powoduje, że nie ma w Polsce prawie wcale tych złożonych kostek brukowych – to popularny w Europie projekt Guntera Demniga zwany „Stolpersteine” – z nazwiskami wywiezionych spod danego adresu. Po cóż by zostawiać niechcianym gościom drogowskazy? A Caninowi tak marzyły się pomniki lub choć tablice: „Wyobrażałem sobie, że jak przyjadę do Mławy, na pewno znajdę gdzieś tablicę pamiątkową, chociaż jakiś znak, że mieszkańcy dają wyraz swojej wściekłości na niemieckich morderców i współczuciu dla zgładzonych Żydów, którzy tam żyli od pokoleń, tam działali i uczynili z Mławy miasto...”. Dziś w naszych miastach jedynym wspomnieniem po dawnych mieszkańcach, ekwiwalentem złotych kamieni pamięci, są tabliczki na kamienicach: „Zarząd Budynków Komunalnych”.

Wzdłuż i wszerz. W sześć miesięcy

„Przez ruiny...” to nie geografia Polski po Zagładzie – to raczej psychogeografia, rysowanie mapy, czarnej mapy emocji, uczuć niszczących – jak pogarda i nienawiść, i niewypowiedzalnych – jak nieukojonny żal po utracie: swoich ludzi, miejsc, które były własne. Awers tego dokumentu jest malowany jasno, może nawet jaskrawo – kolorami wypowiedzianymi przez sentyment; rewers jest ciemny, straszny – to *otchłań*, która rozpościera się dalej i głębiej niż sama Zagłada.

„Przez ruiny...” to nie geografia Polski po Zagładzie – to raczej psychogeografia, rysowanie czarnej mapy emocji

„Przez ruiny i zgłiszcza” to zapis rzeczywistości, która na pierwszy rzut oka już nas nie dotyczy – a jednak, twierdzę, jest wciąż naszą codziennością. Badania, które prowadzę od prawie dziesięciu lat, a które dotyczą miejsc odwiedzanych niegdyś przez Mordechaja Canina – tych, jak o nich pisał, „bezkształtnych wzgórków porośniętych soczystą trawą”, „wielkich polaci piasku”, „gęstych kęp dzikich narcyzów”, kopców przy drodze i łąk na polach, w których zakopywano ofiary – nie

pozwalają na kojące wnioski, że zdolność do skrajnego okrucieństwa, która była ich czynnikiem sprawczym, nie wydostała się poza czasy wojny i „wielkiej trwogi” i nie przynależy tajnie do współczesności, w której żyjemy. Siły, które wtedy się ujawniły, nie zostały bowiem nigdy skutecznie wyegzorcyzmowane z życia wspólnego. Bywały wprawdzie nazywane po imieniu i wystawiane na widok (jak przy okazji sprawy Jedwabnego), ale nigdy nie doszło w Polsce do momentu przesilenia – do powszechnego publicznego ostracyzmu wobec tych, którzy byli sprawcami, albo tych, którzy dziś ogłaszają się dziedzicami ich szowinistycznych poglądów.



Miechów, „Łąki Rydzewskiego”, fot. K. Jarzyńska, zdjęcie wykonane przez zespół Ośrodka Badań nad Kulturami Pamięci WP UJ podczas badania nieupamiętnionych miejsc ludobójstwa (projekt NPRH).

Dlatego Canina nie można czytać jak chorego na natręctwo podróży w czeluść zła, nie jest on też w żadnej mierze spokrewniony z dzisiejszymi „mrocznymi turystami” szukającymi rozkoszy w makabrze. Reportażysta dokładnie wie, czemu wjechał w ten kraniec świata, w miejsce nie do życia. Chce „zglebić otchłań żydowskiej zagłady, jeśli zglebienie jej jest w ogóle możliwe; zdemaskować winnych, niezależnie od tego, do którego narodu należą, a na koniec dać obraz tego, co zostało z ośmiuset lat żydowskiej obecności na polskiej ziemi”. Dlatego zarzuty, że w „Ruinach...” wypowiada się zaburzony, ktoś kompulsywnie szukający wciąż tego samego bodźca, nieznajdujący ukojenia, nie trafiają celu.

**Siły, które wtedy się ujawniły, nie zostały nigdy
skutecznie wyegzorcyzmowane z życia wspólnego.
Nigdy nie doszło w Polsce do przesilenia**

Dokładność prezentowanych danych i obiektywizm przekazu (łatwe do zdyskredytowania, co sygnalizuje już we wstępie tłumaczka i zarazem współautorka przypisów) są bowiem drugorzędne, a nawet bez znaczenia, jeśli zrozumieć, że w momencie, w którym księga podróży po Polsce wydana została w języku polskim, zyskała nowe, absolutnie fundamentalne znaczenie. Komunikuje się bowiem nie z czytelnikami „Forwerts” w Nowym Jorku w latach 40. czy w Palestynie w 50., ale ze

współczesnymi mieszkańcami tych miejscowości, o których reportażysta pisał. Otrzymujemy nie tyle historyczno-topograficzny dokument, ile nieomal stukrotnie powtórzone wezwanie do publicznego i wspólnotowego wystąpienia. Słowa, które mielibyśmy wypowiedzieć, Canin proponuje *explicite* w finale:

„Weźcie, Żydzi, swoje rzeczy, które uratowaliśmy z rąk naszego wspólnego wroga. Niemcy was mordowali, a nas zniewolili, pomagaliśmy, jak mogliśmy, wszystko, co zostało z waszego dobytku, weźcie z powrotem. Wracajcie do waszych domów, zabierzcie się do swojej pracy i budujmy razem życie, tak jak to robiliśmy przez wiele pokoleń. Możliwe, że nie postępowaliśmy jak należy, kiedy was mordowano, możliwe, że źle zrobiliśmy, prześladowając waszych partyzantów w lasach. Wróg był okrutny, straszny, demoralizował nas. Poniżał nas w naszych własnych oczach, my już nie byliśmy prawdziwymi ludźmi i pozwoliliśmy się zdemoralizować...”.

Warto sobie uświadomić, że póki powyższe wyznanie nie będzie w Polsce *możliwe* do powszechnego wypowiedzenia, póki nie zyska waloru neutralności i oczywistości, póty wojna wciąż będzie modelować nasze interakcje. By nie słyszeć tego bitewnego werbla, nie poddawać się tej przerażającej normie z przeszłości, podejmujemy rozliczne, angażujące wspólnotę wysiłki, których skutki widzimy coraz wyraźniej. Przystajemy na ideowe i symboliczne retusze (pisał o tym Tomasz Żukowski), naturalizujemy materialne przejęcia (mówili o tym autorzy tomu „Klucze i kasa”, a przed nimi liczni artyści i uczeni, poczynawszy od Kazimierza Wyki), pielęgnujemy klasowe idealizacje (jak dowodzą Joanna Tokarska-Bakir, Jan Sowa, niedawno też Katarzyna Chmielewska). Z pomocą władnych instytucji chrystianizujemy dawne traumy i polityzujemy pamięci. Wszystko po to, by nie dostrzec swej przeszłości wielowymiarowo, także w jej nieheroicznej, często marnej pełni. Jak to było? „Myśmy wszystko zapomnieli”?

Pogrążone w amnezji, somnabuliczne społeczeństwo nie może wiedzieć, kim jest, przekonywał Andrzej Leder w „Prześnionej rewolucji”, więc ostatecznie pozbawia samo siebie tożsamości i sprawczości, choćby – podejmując zbiorowe, czasem spektakularne wysiłki – mamilo się, że jest inaczej. Dlatego zanim napiszesz maturę, zanim rozliczysz PIT, zanim spłacisz kredyt za mieszkanie, koniecznie przynajmniej raz na dowolnej stronie otwórz Canina. Żeby wiedzieć, co to znaczy, że „piłą rznąli”, że „gdzieś zadźgali”, że „zatłukli, spopychali”, że „krwawiącego przez lód gnali...”. W kraju bez winy, a więc i bez kary, *to, co było, może przyjść* – 

Autor

Roma Sendyka

Kulturoznawczyni, pracuje w Katedrze Antropologii Literatury i Badań Kulturowych WP UJ, prowadzi Ośrodek Badań nad Kulturowymi Pamięciami, działa w Kolektywie Kuratorskim. Autorka książki „Nowoczesny esej” (Kraków 2006), „Od kultury ja do kultury siebie” (Kraków 2015), współredaktorka kilku tomów na temat badań nad pamięcią. W 2011 uczyła na University of Chicago, stypendystka Fundacji Kościuszkowskiej, ERSTE Stiftung oraz European Holocaust Research Infrastructure. Kieruje grantem „Nieupamiętnione miejsca ludobójstwa i ich wpływ na pamięć zbiorową, tożsamość kulturową, postawy etyczne i relacje międzykulturowe we współczesnej Polsce” (NPRH).

Wydanie
255

Data
05/2019